

DROGĄ PRZEZ MĘKĘ TRAFIŁEM DO PIEKŁA

Właściwie nie wiem, dlaczego różni publicyści, a niekiedy i historycy, powstanie hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Fünfteichen /dzisiejsze Miłoszyce k/Oławy/, filii Gross-Rosen, uparcie wiążą z 1943 ro., a niektórzy podają wyłącznie rok 1944. Hitlerowska machina administracyjna była w 1943 r. wprawdzie jeszcze bardzo sprawna, ale czy naprawdę na tyle, żeby w ciągu jednego roku zdążyła wybudować, obsadzić kadrami i zapełnić więźniami ponad 100 obozów koncentracyjnych - filii grossröseńskich? Wątpliwe. Wątpliwe tym bardziej, że - jak wiadomo - Alfred Krupp już w lutym 1942 r. zapłodnił myśl Hitlera projektem, aby w jakiejś zacisznej okolicy wybudować nowe zakłady zbrojeniowe, sugerując zarazem, by do realizacji tego przedsięwzięcia zaangażować najtańszą siłę roboczą, a więc więźniów obozów koncentracyjnych.

Tego samego 1942 roku, konkretnie 8 sierpnia, w kwaterze Hitlera zapadła decyzja o rozpoczęciu budowy wielkich zakładów zbrojeniowych na terenie dzisiejszego Jelcza k/Oławy. Zainteresowanych bliższymi szczegółami w tej sprawie odsyłam do zeznań w procesie norymberskim Otto Saura, jednego z głównych współpracowników ministra uzbrojenia i amunicji III Rzeszy, Alberta Speera. Wraz z decyzją o budowie zakładów zbrojeniowych postanowiono wybudować w ich pobliżu filię obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, właśnie w Fünfteichen. I jeszcze w tymże 1942 r. ruszyły równoległe dwie budowy - zakładów zbrojeniowych i obozu koncentracyjnego. Byłem tam w owym czasie. Nie pamiętam już, czy był to październik, czy początek listopada, ale w tym mniej więcej okresie przywieziony zostałem z Będzina - via sosnowieckie więzienie - w około 500-osobowej grupie i pod silną eskortą SS, do obozu pracy przymusowej, czyli ZAL w miejscowości noszącej wówczas dwie nazwy: Marktstadt i Laskowitz.

Już następnego dnia podjęliśmy pracę przy wykopywaniu buraków cukrowych na polu, na którym - jak się wkrótce okazało - miały stanąć hale produkcyjne, oraz przy stawianiu baraków, które stanowiły pierwsze elementy późniejszego obozu koncentracyjnego. Nie chcę tu opisywać morderczego tempa 14-godzinnego dnia pracy, bo o Fünfteichen, a nie o Marktstadt-Laskowitz zamierzam mówić. Jeżeli jednak zacząłem swoje wspomnienia niejako rysem historycznym, to tylko dlatego, że historia powstania tej grossröseńskiej filii jest stosunkowo mało znana i nie wiadomo dlaczego omijana przez historyków i publicystów parających się tą tematyką.

Latem lub wczesną jesienią 1943 r. ZAL Marktstadt-Laskowitz zaczął ulegać likwidacji. Znalazłem się w pierwszej kilkusetosobowej grupie więźniów skierowanych do obozu koncentracyjnego Fünfteichen. Była to kilkukilometrowa droga przez mękę do piekła. W bloku Nr 26 królował blokowy Kannengieser, znany sadysta i zarazem złodziej, w którego procesie w 1946 r. przed sądem w Wałbrzychu byłem głównym świadkiem oskarżenia.

Już jako häftling Nr 25584 pracowałem nadal przy budowie zakładów zbrojeniowych. Pamiętam dokładnie, że pierwsza gotowa hala produkcyjna, aczkolwiek nie wiem dlaczego, otrzymała nr 11. W tym samym dniu zaczęto wśród więźniów wyszukiwać specjalistów: ślusarzy, tokarzy, frezerów, kowali itp. Marzyłem o tym, aby dostać się

do pracy w hali produkcyjnej, pod dachem. Tym bardziej, że zapowiedziano, iż "kto będzie pracował u Kruppa, będzie otrzymywał dodatek w postaci 20 dkg chleba oraz zwiększony przydział margaryny i marmolady". Zgłosiłem się i... dostałem od blokowego potężnego kopniaka w podbrzusze, a następnego dnia poszedłem do swojej normalnej pracy. Pracowałem w tym czasie w firmie "August Nietsche - Tiefbaugesellschaft, Berlin-Tempelhof".

Już do końca życia będę pamiętał to przedsiębiorstwo zajmujące się wykonywaniem wykopów na budowie zakładów i układaniem rur. I nie dlatego, że praca była tu mordercza. Ciężka praca fizyczna, aż do utraty sił, była wymagana także w innych przedsiębiorstwach, w których później pracowałem, jak np. w firmie "Betonbau - Grün und Bielfinger" czy też "Schalhorn-Glogau". Ale tu, u Nitschego, więźniowie mieli wyjątkowego obermajstra - Franza Grodemanna z Berlina i majstra Karla Plischke ze Strzegomia. Ten pierwszy lubował się w spychaniu do głębokich wykopów "leniwych" więźniów, a drugi był "łagodniejszy" - namiętnie bił łopatą każdego, który w jego przekonaniu był zbyt powolny. A że ciągle twierdził, iż wszyscy więźniowie są zbyt powolni - zajęcia mu nie brakowało. Grodemanna będę wyjątkowo długo pamiętał z dwóch zwłaszcza powodów. Pierwszy, dotyczy współwięźnia, który od kilku dni pracował razem ze mną. Wiem, że był krawcem z Sosnowca i chyba nazywał się Lewin. Miał wrzody na dwunastnicy. Razem kopaliśmy rów już na głębokości około 4 m. Mój kolega odrzucał właśnie piasek na powierzchnię, który ja łopatą wyrzucałem z drugiego rusztowania wewnątrz wykopu. W pewnym momencie Lewin przykucnął, bo chwyciły go bóle. Nie wiem, ekąd nagle pojawił się obermajster. Bez słowa nogą mocno pchnął więźnia, który z krzykiem spadł na dno wykopu, uderzając po drodze o belki wspierające deski na ścianach. Pracujący na samym dole więzień ledwie zdążył odeskoczyć. Zanim pomyśleliśmy, co zrobić, Grodemann wrzasnął: "raus". Wyszliśmy z wykopu. Obermajster kazał nam nosić deski do umocowania ścian, a sam poszedł w kierunku stojących opodal dwóch esesmanów, którzy zajęcia nie widzieli. Po chwili rozmowy wrócił z nimi na miejsce zdarzenia. Cała trójka nachyliła się nad wykopem, a jeden z esesmanów zaczął głośno wołać: "hej, ty, wstawaj! Kiedy po kilku okrzykach więzień nie reagował, esesman chwycił leżący na deskach krótki kilof i cisnął go do wykopu. Kiedy i tym razem więzień nie poruszył się, przywołano nas, czterech więźniów, i polecono Lewina wynieść na wierzch. Zrobiliśmy to wyjątkowo szybko. Nasz kolega nie dawał oznak życia. Ułożyliśmy go - jak nam kazano - za przymą piasku. Po skończonej pracy byliśmy zdziwieni, że polecono nam nieść zwłoki do obozu. Wcześniej bowiem tych, których zamęczono lub zabito na terenie budowy, grzebano gdziekolwiek, byle głęboko. Tyle że wcześniej esesman, w obecności innego Niemca z danej firmy, zrywał więźniowi numer i sporządzał notatkę. Tym razem było inaczej.

Następnego dnia Franz Grodemann był jakby inny, łaskawszy. Nosilem właśnie deski z drugim kolegą, gdy kiwnął na mnie palcem. Zerwałem czapkę z głowy i podbiegłem do obermajstra, stając przed nim na baczność. Zapytał mnie, czy wiem, gdzie mieści się jego biuro. Gdy odpowiedziałem twierdząco, polecił mi zameldować się w połowej kuźni, obok biura. Pracował tam wyjątkowo przyzwoity Niemiec spod Berlina, Emil Hoppe. Przez 5 dni pomagałem mu w ostrzeniu stępionych kilofów, służących do gładzenia ścian w wykopie. Praca lekka, pod prowizorycznym dachem i bez nadzoru esesmanów. I byłoby nadal wszystko dobrze, gdyby nie skusił mnie

chleb z margaryną posypaną cukrem - przysmak psa obermajstra. Wprawdzie już na drugi dzień pracy w kuźni próbowałem podbierać psu żarcie, ale bez skutku. Udało mi się to w trzecim i w czwartym dniu, a w piątym Franz Grodemann przyłapał mnie na kradzieży. Zbity i skopany, z rozbitą wargą, wracałem do pracy przy wykopach, ale obermajster i tak okazał mi "wielką łaskę", nie meldując o kradzieży służbie obozowej ani nie wtrącając mnie później do wykopu. I to jest drugi powód nie pozwalający mi zapomnieć Franza Grodemanna.

Każdy były więzień Fünfteichen przyzna mi, że praca na budowie zakładów zbrojeniowych była daleko cięższa i niebezpieczna niż wewnątrz hal produkcyjnych. Wewnątrz więzień czuł się bardziej bezpieczny. Przede wszystkim był pod nadzorem cywilnym Niemców, co wcale nie znaczy, iż nie był kontrolowany przez służbę SS i że nie był narażony na szykany. Ale miał dach nad głową, ciepłej, konkretne zajęcie. Można śmiało powiedzieć, że więzień zatrudniony u Kruppa był w pracy bezpieczniejszy niż na terenie obozu. Na budowie zaś żyło się w ciągłym strachu, niemal bez przerwy pod podwójnym nadzorem: służby SS i niemieckich majstrów, których większość należała do SA. Tu często padało się z wycieńczenia i zimna, tu esesmani urządzali polowania na osłabionych więźniów, których dobijano, tu nie wolno było zamykać drzwi w polowych wychodkach podczas załatwiania własnej potrzeby, nie narażając się na strzał poprzez drzwi. Gdy wracało się po pracy do obozu w mokrym ubraniu i butach - to rano w tym samym stawało się na placu apelowym. Wewnątrz hal produkcyjnych nie było prawie możliwości kradzieży papierowych worków po cemencie. Na budowie zaś - na każdym kroku. Ciągłe kusilo, by ukraść, aby z worka, po wycięciu odpowiednich dziur, zrobić sobie dodatkową koszulę-ocieplacz. Bo więźniowie pracujący na zewnątrz przez większą część roku byli zziębnięci. Kradziono więc worki mimo groźby śmierci, a groźba wielokrotnie się spełniała, gdyż kradzież worka traktowano jako sabotaż na szkodę III Rzeszy.

Jeśli można mówić o ilościowo równej śmiertelności wśród więźniów Fünfteichen, wynikłej z warunków panujących wewnątrz obozu - to jeśli weźmie się pod uwagę warunki pracy poza obozem, należy stwierdzić, że ta śmiertelność była dużo wyższa wśród więźniów zatrudnionych przy budowie zakładów zbrojeniowych niż bezpośrednio przy produkcji. Jest to zupełnie zrozumiałe, nawet i z tego powodu, że większość więźniów, przynajmniej początkowo, pracowała przy wznoszeniu hal produkcyjnych.

Powiedziałem na początku, iż z ZAL Markstadt-Laskowitz, "idąc drogą przez mękę trafiłem do piekła". Tak, Fünfteichen było piekłem na ziemi. Więc kiedy jesienią 1944 r. znalazłem się w 300-osobowej grupie względnie młodych i silnych więźniów, przeznaczonych do przeniesienia do innego obozu, konkretnie do Walimia, wydawało mi się, że wygrałem szczęśliwy los. Tymczasem okazało się, że prawdziwe piekło miałem dopiero poznać. Ale to już zupełnie inna historia, aczkolwiek także w filii Gross-Rosen.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.19